

Na posiedzeniu parlamentu był tego dnia tłum ludzi. Sala Izby Posłów wypełniła się aż po brzegi, ale i tak panował ścisk. Stawił się też cały gabinet, wszyscy członkowie. Jakżeby nie, to przecież wielki dzień: miał zostać przedłożony budżet, a jego przegłosowanie nie budziło wątpliwości, co nie zdarzyło się od 1903 roku, odkąd finansami państwa zarządzano jedynie przy użyciu prowizorium¹ albo, jak dla zachowania rymu nazywano to ułomną łaciną, doprowadzono je do stanu „ex-lex”².

Teraz wreszcie, jesienią 1906 roku, przywrócono porządek w finansach państwa. To wielka zasługa rządu koalicyjnego.

Na podwyższenie wszedł poseł sprawozdawca, Pál Hoitsy. Jego ładna, siwa głowa z krótko przyszytymi bokobrodami dobrze się prezentowała na tle dębowej okładziny podium przewodniczącego. Mówiąc zawiłe, docenił tamten uroczysty moment, pełną błogosławieństwa harmonię, która ponownie nastała pomiędzy narodem a królem³.

Zaledwie kilku gorliwców wypowiedziało jedno i drugie „wiwat”. Izba pozostała niema. I to nie tylko grupa mniejszości narodowych⁴, ścieśniona w ławach nieco wyżej i na prawo od środka sali, w milczeniu otaczająca swojego przewodniczącego, Mihály Polita, który miał przedłożyć projekt uchwały, lecz również inne partie milczały w powadze. Bo właśnie rankiem tego dnia, 22 listopada, w wiedeńskiej gazecie „Fremdenblatt” ukazał się artykuł, który, a i owszem, przeczył owej wielkiej harmonii.

Artykuł ten dotyczył zgłoszonego dzień wcześniej wniosku, sformułowanego przez komisję sprawiedliwości. Sądono, że na obecnym posiedzeniu zostanie mu nadana moc prawa krajowego.

Kłopotliwa sprawa. Nieprzyjemna.

- 1 Chodzi o przegłosowaną przez parlament ustawę upoważniającą rząd, aby do określonego momentu (najpóźniej do czasu, gdy zacznie obowiązywać nowy budżet) wydatkował na poziomie budżetu z roku poprzedniego.
- 2 Czyli do stanu nieprawnego, niezgodnego z prawem, wyjętego spod prawa.
- 3 W kwietniu 1906 r. Franciszek Józef jako król Węgier porozumiał się z koalicją partii opozycyjnych, na czele z Partią Niepodległości, i zdymisjonował powołany blisko rok wcześniej – co doprowadziło wówczas do poważnego kryzysu politycznego – mniejszościowy rząd Gézy Fejérváryego, nazwany złośliwie rządem drabanckim.
- 4 *Nemzetiségi* (węg.) – przymiotnik od węgierskiego rzeczownika *nemzetiség* („narodowość”); w języku polskim używa się terminu mniejszości narodowe, po węgiersku zaś mówi się o narodowościach, jako że pod względem liczebności lokalnie często nie były to mniejszości. Dla lepszego zrozumienia tekstu niekiedy używane jest również pojęcie mniejszości.

Zaczął się to tak, że dwa dni wcześniej jeden z reprezentantów Partii Ludowej wniosł o postawienie w stan oskarżenia gabinetu Fejérváryego, gabinetu, który ustąpił. Rząd nie mógł już więc uniknąć debaty nad tym wnioskiem, jak czynił z podobnymi pismami od komitatów i miast w czerwcu, w trakcie sporu nad kwestią adresu skierowanego do króla. Nade wszystko nie mógł tego zrobić, gdyż wnioskodawcą był człowiek ze ścisłego grona Rakovszkyego⁵. Dlatego też podejrzewano, że to Rakovszky stoi za tą sprawą, i w obozie Ferenc Kossutha szeptano o podstępnej napaści, podłej intencji, niecznej intrydze, za pomocą których próbuje się rozbić współpracę sprzymierzonych partii. „I właśnie tu atakują, w najbardziej newralgicznym punkcie!” Przecież wszyscy wiedzieli – a Rakovszky z pewnością najlepiej – że jednym z warunków przekazania rządów była nietykalność członków poprzedniego gabinetu. Przywódcy partii koalicyjnych zobowiązali się do tego przed królem. Nie zostało to upublicznione, co więcej, kiedy w lecie László Vörös, minister handlu w rządzie drabantów, wyjawiał istnienie paktu, półoficjalne głosy zaprzeczyły jego twierdzeniom, aczkolwiek czyniły to dość niepewnie. Teraz jednak, skoro Partia Ludowa zachowała się tak prowokacyjnie, trzeba było się z tą sprawą zmierzyć i rozwiązać ją w taki sposób, żeby entuzjazmująca się a nieprzychylna Austrii opinia publiczna też mogła się cieszyć i żeby także wobec króla dotrzymać zobowiązania.

No więc to się nawet udało dzięki wystąpieniu Ferenc Kossutha. W komisji rzucił na szalę cały swój autorytet. Oznajmił: „Paktu nie ma, bo przecież stanowiłoby to naruszenie konstytucji...”. To było niebezpieczne zdanie. Wszak wiadano, że panujący powierzył im misję na podstawie zapisanych punktów, niemniej słowa te oddziaływały bardzo dobrze, dumnie i patetycznie. W ten sposób osiągnął to, że wniosek o postawienie w stan oskarżenia komisja odrzuciła i zamiast tego przyjęła uchwałę piętnującą Fejérváryego i jego towarzyszy, wedle której nazywa się ich „niewiernymi doradcami króla i narodu” i poddaje „miażdżącemu osądowi narodu”.

Następnie zarządzono, aby cały tekst uchwały ogłosić za pomocą plakatów, jak tylko parlament nada jej moc uchwały krajowej.

To była dobra formuła, doskonała. Wszyscy wyszli z komisji zadowoleni, radykałowie dlatego, że zniechęcony rząd drabantów został napiętnowany, a ministrowie dlatego, że uniknęli żądania, którego spełnić w żadnym wypadku nie mogli.

5 István Rakovszky (1858–1931) – węgierski polityk, poseł, od 1903 r. wiceprzewodniczący Partii Ludowej, w latach 1905–1909 pełnił funkcję zastępcy przewodniczącego Izby Posłów w węgierskim parlamencie.

Ale dzisiaj rano wybuchła bomba. W wiedeńskiej „Fremdenblatt”, będącej tubą dworu, na pierwszej stronie ukazał się ów artykuł. Wyłuszczone w nim, tytułem doniesień z Budapesztu, iż wczorajsza uchwała „zostanie przekształcona”, bo niemożliwością jest, żeby tych, którzy cieszyli się zaufaniem władcy, ustawić pod pręgierzem przed całym krajem i światem; a potem też wiadomość „z otoczenia Fejérváryego”, wedle której ma on przemówić na najbliższym posiedzeniu Izby Wyższej i przedstawić szczegóły paktu.

Nic więcej. Tylko tyle.

W izbie panował ponury nastrój. I to nie wyłącznie dlatego, że na zewnątrz utrzymywała się mocno jesienna pogoda i w sali z przeszklonym sufitem było ciemno. Światło palące się w galeriach dla dziennikarzy i w tych położonych na piętrze czyniło salę obrad może nawet jeszcze ciemniejszą, gdzieś tam tylko pobłyskiwało na licznych sztucznych marmurach i podrabianych złoceniach, a malowane rzeźby gipsowe, o, tam w górze, były już mało widoczne. Jedyne siwe włosy wnioskodawcy lśniły na podwyższeniu.

Posłowie uznali, że wypada pozostać na sali w trakcie obrad, myśleli jednak o czymś innym. Ledwie słyszeli gładko toczące się słowa posła referenta. Po wszystkich stronach, w różnych grupach zwolenników ideałów 1848 roku, w ławach Partii Konstytucyjnej i Partii Ludowej, po pięciu, sześciu z głowami pochylonymi ku sobie, szepcząc, omawiali najnowszy zwrot wydarzeń, groźbę czającą się pomiędzy wierszami artykułu we „Fremdenblatt”.

Ferenc Kossuth oraz minister sprawiedliwości Polonyi cicho, acz zdenerwowani naradzali się z Visontaim, który sformułował wczorajszą uchwałę. Jedyne Wekerle, wykazując znaczny spokój, rozparł się w fotelu premiera, a swoją szlachetną, przypominającą oblicza rzymskich cesarzy twarz skierował w górę ku referującemu. Budżet to jego dzieło i być może tym się zachwycał. A zresztą był też człowiekiem o silnych nerwach, takim, co widział już niejedną burzę.

„Mimo wszystko świat jest inny”, pomyślał Abády, który jako poseł bezpartyjny siedział naprzeciwko prezydium, w położonych wyżej, środkowych ławach. „Jeszcze przed półtora rokiem jaka by tu szalała wichura. Jak by podskakiwali mówcy, żeby zabrać głos, zanim rozpocznie się porządek obrad, jak by grzmieli o przeklętym Wiedniu, o mrocznej kamaryli. Może i sam przewodniczący poruszyłby kwestię bezprawnej ingerencji «pewnej obcej gazety». Teraz są już bardziej realistyczni, liczą się z rzeczywistymi uwarunkowaniami. Być może wyniosą z tego jakąś naukę...”

Pośród takich to myśli Abády wysłuchiwał całego przemówienia.

Gdy zbliżało się ono ku końcowi, ktoś z siedzących w ławach zwolenników ideałów rewolucji 1848 roku przesiadł się na miejsce obok Abádyego. Był to doktor Zsigmond Boros, adwokat i poseł z Marosvásárhelyu. Jego kariera pięknie ruszyła. Po wyborach w 1904 roku był jednym z głównych mówców po stronie skrajnej lewicy. W momencie tworzenia rządu koalicyjnego został sekretarzem stanu w ministerstwie Kossutha⁶. Jednakże ledwie po dwóch miesiącach nagle i pozornie bez przyczyny podał się do dymisji. Chodziła wieść, jakoby w jego praktyce adwokackiej był jakiś problem. Choć nikt nic nie wiedział ani nie mówił niczego pewnego, wszyscy traktowali go od tamtej pory chłodno, bo w tamtym czasie w polityce wiele nawet i wybaczano, ale w kwestii przyzwoitości osobistej ludzie byli bardzo surowi. Po swojej dymisji Boros rzadko przychodził do parlamentu, być może przebywał daleko, być może porządkował własne sprawy. Przed dwoma dniami znów się pojawił. Abády zauważył, że tuż po rozpoczęciu zgromadzenia Boros rozmawiał z jedną i drugą grupą, cicho coś tłumaczył, a następnie przechodził do kolejnej. Teraz usiadł obok niego. Zapewne z jakimś zamiarem.

I rzeczywiście, ledwie przewodniczący uhonorował wybrzmiałą przemowę dziesięciominutową przerwą, Boros zwrócił się do Abádyego:

– Chciałbym zamienić z tobą kilka słów.

Pośród wylewającego się z sali tłumu posłów wyszli i oni na korytarz, po czym skierowali się do obszernego, ale ciemnego salonu, gdzie kanapy oddzielone były od siebie kolumnami i zasłonami z lambrekinami, jakby urządzono go w sam raz dla spiskowców.

Zajęli miejsce na skrajnej kanapie.

– Chciałbym cię prosić o radę w sprawie ważnej dla całego kraju – zaczął Boros. – Jestem pełen obaw i nie wiem, jaką drogę wskazuje mi obowiązek. Muszę się cofnąć nieco dalej: do okoliczności mojej dymisji.

Bálintowi przez głowę przemknęło to, co słyszał na ten temat. Oczywiście nic pewnego, tylko podejrzenia czynione półsłówkami, i teraz, gdy tamten siedział naprzeciw niego, zastanawiał się, czy są one prawdziwe. Nie potrafił w nie uwierzyć.

Zsigmond Boros był przystojnym mężczyzną. Wysokie czoło miał jak z marmuru, bez jednej zmarszczki, patrzył prosto, spokojnie, jego bladą twarz okalała dobrze zadbana, ruda broda w kształcie łopaty. Wszystko to stwarzało znakomite wrażenie. Nie psuł go nawet fakt, że nosił się on

6 Ferenc Kossuth kierował ministerstwem handlu od kwietnia 1906 do stycznia 1910 r.

modnie, co w przypadku adwokata z prowincji było czymś raczej niespodziewanym.

Dźwięcznym, aksamitnym głosem Boros powrócił do napisanego przez Vörösa artykułu, o którym mówiono wcześniej.

– Ciebie tutaj wtedy nie było? – spytał.

– Nie, byłem za granicą – odrzekł Abády, bez wdawania się w szczegóły.

– Prawda, słyszałem, że byłeś w Italii. Pozwolisz zatem, że nakreślę nieco tę sprawę.

I zreferował artykuł, w którym były minister rządu drabantów twierdził, iż w trakcie negocjacji mowa była o przejęciu rządów przez gabinet *ad hoc*, w celu stworzenia powszechnego prawa wyborczego; gabinet ten miał być utworzony jedynie z przedstawicieli partii opowiadającej się za ideałami rewolucji 1848 roku, a także z byłych członków rządu. Na jego czele miał stanąć László Vörös. Twierdził on także, iż Ferenc Kossuth wszystko to zaakceptował.

– Ja wówczas odwiedziłem Kossutha. Chciałem jasno widzieć, do czego mam prawo, skoro jestem jego sekretarzem stanu, a więc osobą zaufaną. Kossuth przyznał, że wprowadzie rozmawiano o takim planie, ale on uznał go jedynie za *ad referendum*; a jako że dwie partie dotychczasowej koalicji opozycyjnej, Partia Konstytucyjna i Partia Ludowa, które do tej pory były przeciwne powszechnemu prawu wyborczemu, uznały konieczność reformy prawa wyborczego, to w sposób oczywisty wszelkie inne kombinacje stały się bezprzedmiotowe. To wtedy Kossuth pokazał mi tekst paktu. I ja właśnie z tego powodu zdecydowałem, że podam się do dymisji, a nie z powodu tych oszczerstw, które, jak słyszę, przeciwko mnie się wysuwają i rozpowszechniają głównie od momentu, gdy rozstałem się z moją rodziną. Ponieważ nie mogę wyjawiać publicznie powodów odejścia, naturalne jest, że „pewne koła” chcą to wyjaśnić takimi posądzeniami! – dodał z naciśkiem.

Boros przerwał tu na moment swoje oświadczenie, jakby oczekiwał, że Bálint się do niego odniesie. Później kontynuował:

– Tak więc pakt istnieje, a i owszem. Kossuth zaś wczoraj na komisji, ujmijmy to ładnie, zaryzykował twierdzenie, które nie we wszystkim odpowiada stanowi faktycznemu. Dlatego więc dręczy mnie pytanie, czy wolno to tolerować, czy nie? Czy wolno pozostawiać kraj w tym błędzie? Czy nie jest obowiązkiem interwencja, by położyć kres temu mylnemu przekonaniu, w którym trwa opinia publiczna? Czy nie jest to moim obowiązkiem, właśnie moim? Mnie nic nie wiąże. Nie przyrzekałem milczenia. Prawdą jest, że

byłem wówczas na urzędzie, ale to sprawa polityczna, a nie służbowa. Gdybym ja teraz wystąpił z nią w parlamencie, to rząd by upadł jak domek z kart.

Boros znów spojrzał pytająco na Bálinta.

– Dlaczego zwracasz się akurat do mnie? – zaciekał się Abády.

– Bo uważam ciebie za człowieka, który myśli samodzielnie, który dysponuje szerszą perspektywą niż większość. Wiem też o pracy, jakiej podjąłeś się w Siedmiogrodzie w kwestii spółdzielni, i bardzo to szanuję. Pozwól mi przedstawić, jak widzę obecną sytuację. Dlaczego uważam ten stan za szkodliwy, ba, chyba nawet za fatalny.

I teraz ukazał mu się w całej pełni jakiś inny Zsigmond Boros, nie ten, którego Abády znał do tej pory. Dotychczas widział w nim jedynie wytwornego i nieco bombastycznego mówcę, który znakomicie potrafi formułować patriotyczne, choć nieco puste zdania, piękne frazy nadające się raczej na wiec ludowy. Dzisiaj natomiast Boros wypowiadał się rzeczowo i z nieoczekiwanej perspektywy.

Prawił nieco zjadliwie, a głęboko pomiędzy słowami pobrzmiwała nawet zawołana nienawiść. Mówił:

– To jasne, że dzisiejszy rząd bazuje na kłamstwie. Opinii publicznej pozwolono uwierzyć, że zwyciężyła koalicja. A przecież prawdą jest coś przeciwnego. Wygranym jest król, poza tym zostało udowodnione, że droga, którą zwłaszcza w sferze wojskowej, ale i gdzie indziej, chciano wymusić tak zwane zdobycze, jest całkowicie nie do przejścia. Tego jednak nikt nie przyzna. I żeby to kłamstwo nadal podtrzymywać, karmi się publikę samymi bujdami. Cały październik parlament spędził nad ustawami mającymi zrehabilitować Rakoczego. Ta obecna uchwała to też taka lipa. Będzie tego zresztą więcej w każdym obszarze, gdzie można zdobyć popularność. Oni są do tego zmuszeni. Nie mieli bowiem odwagi przyznać, że nic z tego, co głosili przy okazji wyborów, nie może zostać zrealizowane, muszą więc polować na rzeczy, które mogą się podobać, tak żeby przykryć nimi całkowite fiasko swojego dotychczasowego programu. To zaś jest strasznie niebezpieczne, ponieważ będą powstawały jedynie pozorne prawa i pozorne środki zaradcze. Takie, które podobają się prasie, o których można pisać artykuły na pierwszej stronie. A jako że naszych relacji z Austrią nie da się zmienić, swoją bezradność będą oni ukrywać pod postacią magicznych słów. Tak będzie w sprawie banku, obszaru celnego, kwoty⁷. Austriacy zaś

7 Chodzi o kontrybucję corocznie wpłacaną przez Węgry do budżetu na rzecz realizacji wspólnych zadań Austro-Węgier, czyli na armię, politykę zagraniczną oraz finanse.

są mądrzy. Nasze czarodziejskie zaklęcia dotyczące niezależności opłacą brzęczącą monetą, a my ulegniemy tylko dlatego, że wspólnoty celnej nie będzie się nazywać unią celną, lecz umową celną. I tak będzie ze wszystkim, bo oni muszą utrzymywać pozór wzmożenia kursu narodowego i pokazywać to przynajmniej w kwestiach, które nie są ograniczone w pakcie. Tak planuje Apponyi, jak słyszałem, przy okazji nowego prawa dotyczącego szkół ludowych: poświęci dużo pieniędzy, żeby na papierze edukacja była jeszcze bardziej węgierska, i tak samo Kossuth chce wcielić w życie nowe uregulowania dotyczące prowadzenia spraw Królewsko-Węgierskich Kolei Państwowych w Chorwacji. Nad tym jego projektem już pracują. Chcą zarządzić, żeby zatrudnieni na kolei i tam mówili po węgiersku! Czyż można wymyślić coś bardziej niemądrego?!

– Naprawdę? – zdziwił się Bálint. – Ale przecież zgodnie z ustawą językiem urzędowym jest tam chorwacki.

– Oczywiście! I ja, dopóki byłem w rządzie, sprzeciwiałem się temu. Sprzeciwiałem się, jako że to my wysadziliśmy w powietrze partię rządzącą bana Khuena⁸ i wspomogliśmy serbską koalicję, aby uzyskała większość. To właśnie była polityka Ferencza Kossutha, bo przecież w kwestii unii personalnej jedynie serbskie partie podzielały program Partii Niepodległości.

Abády po raz pierwszy wtrącił się z werwą:

– Z pewnością nie ze względu na nas to zrobili. Natychmiastową konsekwencją unii personalnej z Węgrami byłoby uzyskanie takiego samego prawa przez Chorwację i oderwanie się jej od nas, co może doprowadziłoby później, ale jednak rychle, do powstania państwa południowosłowiańskiego z Bośnią i Dalmacją, czyli do trializmu. Wiem, że dla pewnych kręgów wiedeńskich to ulubiona myśl!

– Co do tego, jak sądzę, można się spierać. Bez wątpienia jednak to absurd, by jakiś kierunek najpierw wspomóc w dojściu do władzy, a potem walnąć w głowę tego, kogo sami umocniliśmy. A przecież jeśli ten rząd

8 Károly Khuen-Héderváry (1849–1918) – ban Chorwacji w latach 1883–1903. W trakcie swoich dwudziestoletnich rządów realizował przede wszystkim interesy węgierskie, a jego autorytarny, represyjny styl sprawowania władzy (zwłaszcza prowadzenie intensywnej madziaryzacji) doprowadził do silnych wystąpień antywęgierskich, w efekcie których, pomimo dobrych wyników przeprowadzonych przez niego reform gospodarczych i modernizacji kraju, musiał odejść ze stanowiska. Następnie został powołany na urząd premiera Węgier, ale tę funkcję pełnił wówczas zaledwie kilka miesięcy. Ponownie powierzono mu ją w roku 1910 i wtedy utrzymał się na niej do roku 1912.

pozostanie u władzy, do tego właśnie dojdzie. Dlatego dręczy mnie pytanie: czy nie jest moim obowiązkiem wyrzucić cały ten system?

Bálintowi przypomniały się pertraktacje, które prowadził z rozmaitymi ministrami w związku z intensywnym organizowaniem spółdzielni w Siedmiogrodzie oraz akcją osiedlania i które posuwały się naprzód z dobrymi widokami na przyszłość. W tak istotnej kwestii, jaką byłoby wywołanie kryzysu rządowego, wcale nie chciał brać na siebie odpowiedzialności.

– Z pewnością to, co powiedziałeś, jest bardzo poważne. Nadzwyczaj szkodliwa to sytuacja, gdy kroki podejmowane przez rząd rodzą się nie z punktu widzenia przydatności dla państwa, lecz z przesadnego nacjonalizmu. Wielce mnie zaszczyciłeś, wyjawiając te rzeczy. Ja natomiast nie mogę w tej sprawie udzielić rady. A zresztą, jak sądzę, rozmawiałeś o tym również z innymi w trakcie posiedzenia...

– Och, nie o tym albo też nie tak jasno. Właściwie to ja wcale nie oczekiwałem od ciebie rady, lecz chciałem z kimś, kogo bardzo szanuję, zrewidować zagadnienie i jednocześnie opisać, dlaczego podałem się do dymisji, jakie to poważne sprawy dotyczące całego kraju były tu powodem, a nie podejrzany problem natury materialnej, o co oskarżano mnie wokoło.

I nagle doktor Zsigmond Boros popadł na powrót w swoje zwyczajowe krasomówstwo. Przemówił tym charakterystycznym aksamitnym barytonem, którego używał w takich momentach:

– Bo ja za cenę własnego życia i własnej krwi służę wyłącznie dobru ojczyzny i nie znam ani nigdy nie znałem innej woli, innego powodu, innej intencji, jak tylko to, co może uczynić nasz naród wielkim, potężnym, kwitnącym. W przeciwieństwie do podstępów obłudników...

W całych kuluarach rozległ się ostry dźwięk dzwonka. Dochodził ku nim przenikliwie nawet z sali kopułowej po sąsiedzku.

Do sali obrad śpieszyli zewsząd posłowie. Jeden z młodych członków partii opowiadającej się za ideałami rewolucji 1848 roku przebiegł nieopodal, wołając do nich:

– Przemawia Apponyi! Niech wszyscy wejdą do środka! Przemawia Apponyi! – I pomknął dalej.

Abády ucieszył się, że im przerwano. To, że Boros ponownie wyciągnął swoje zwyczajowe frazy, dotknęło go nieprzyjemnie i jakoś zepsuło tamte wcześniejsze argumenty, które wydawały się rzeczowe.

Obaj wrócili spacerkiem do sali posiedzeń.

Przez wiele kolejnych dni Bálint nie spotkał się już z Zsigmondem Borosem. Tamten nie wystąpił przed Izbą Posłów. Nie zdemaskował paktu.

Ani nie doszło do napiętnowania rządu Fejérváryego. Komisja sprawiedliwości ponownie zebrała się następnego dnia, a do sformułowania nowego tekstu uchwały oddelegowano pięciu dżentelmenów, którzy pogrzebali tę sprawę na zawsze.

Rację miała jednak, jak się okazało, gazeta „Fremdenblatt”.

II

Mogło być tak wpół do drugiej, gdy cygańska kapela zebrała się do drogi i ruszyła w wiosenną noc. Marzec tego roku był łagodny. Laji Pongrácz kroczył z przodu, jak to wypada pierwszemu skrzypkowi, z podniesionym przy policzkach futrzanym kołnierzem i z drogimi skrzypcami pod pachą, także w miękkim okryciu; na samym zaś końcu kuśtykał człowiek niosący na plecach cymbały, mocno pochylony pod ciężarem instrumentu. Za nimi podążała dorożka, do której wpakowano stół i sześć krzeseł, na kozła zaś wdrapał się jeden z kelnerów – trzymał na kolanach kosz z wieloma kieliszkami, a pomiędzy nogami ścisnął z dziesięć butelek szampana, dwie flaszki koniaku oraz blaszane wiadro z lodem. Pochód zamykało dwóch miejskich policjantów.

Wezwano ich tutaj z ratusza, obowiązywał bowiem przepis, że nocne granie należy zgłosić, prosząc przy tym o oddelegowanie do niego policjantów.

Kiedy grupa muzyków skręciła w ulicę Egyetem, z hotelowej sali wyszli na zewnątrz organizatorzy serenady. Na przedzie, trzymając się za ramiona, jeden wysoki oraz jeden niski młodzieniec: Ádám Alvinczy i Pityu Kendy.

Oni bardzo się zbratali, odkąd – będzie już ponad rok – bez najmniejszych widoków zakochali się w Adrienne Milóth. A ponieważ dzielony smutek łatwiej jest znieść, zawsze przestawali w swoim towarzystwie i jeśli włali w siebie wystarczająco dużo alkoholu, rozwlekłe tłumaczyli, jak straszliwie cierpią. Dobrze się nad sobą nawzajem poużalali, nim po wypiciu odpowiedniej ilości trunków wybrali się w końcu do domu. I tak dzień w dzień. Teraz też omawiali swoją biedę, nie szczędząc przy tym słów.